

*"Jeśli zdamy sobie kiedykolwiek sprawę, że nie stać nas psychicznie na rolę "opiekuna spolegliwego", należałoby się wycofać z tego kłopotliwego etycznie sportu, bo nikt nam nie dał prawa do rezygnacji z człowieczeństwa na rzecz naszej pasji górskiej."**

Andrzej Wilczkowski

Runda pierwsza: Pobieda

Pik Pobiedy był i jest wielkim marzeniem Radka Juszczyka. Po naradach postanowiłem włączyć tę górę do programu przygotowań na Shisha Pangmę, ponieważ jest na tyle wysoka i trudna, że była wyborną okazją do sprawdzenia siebie przed ośmiotysięcznikiem. Jak się później okazało, góra postawiła nam poprzeczkę wyżej niż się spodziewaliśmy. Podczas aklimatyzacji doszliśmy tylko na 6100 m, gdzie założyliśmy naszą trójkę. Wyżej się nie udało, z powodu kiepskich warunków. Trudności tego etapu to: duża ilość szczelin na lodowcu, którego nie sposób pokonać bez liny, następnie mamy słynny serak, jego przejście to istna loteria, a powyżej niego ponownie labirynt szczelin. Nie wspomnę o trudnościach mikstowych powyżej trójki. Razem to wszystko daje drogę zróżnicowaną i wymagającą. My nawet łatwy technicznie odcinek z przełęczy Dziki do trójki torowaliśmy w głębokim śniegu. Powyżej trójki żeby dostać się w teren mikstowy musieliśmy kopać łopataą drogę, bo śniegu było powyżej pasa. Po założeniu obozu trzeciego przez dwa dni restowaliśmy się w jedyńce, na 4400m, czytając książki, oglądając Playboya po rosyjsku i jedząc pyszności. W tym też czasie odesłaliśmy śmigłem do Maida Dyru Adama, bo się rozchorował i już nie mógł działać na wysokości. Przy okazji sprawdziliśmy przydatność ubezpieczenia z OEAV. Potem nastąpił szturm. Trwał dziewięć dni. Pokonując różne przeciwności losu dotarliśmy na Ważę, czyli Pobiedę Zachodnią. Pogoda była dobra, więc zaczęliśmy śmiało myśleć o szczycie. W dniu ataku warunki były dobre, wydawało się, że będzie sukces. Przed "Obeliskiem" zostaliśmy zatrzymani przez gigantyczny nawis śnieżny. Nawis na grani miał 300m długości i ok. 50 wysokości. Podczas próby trawersu zostaliśmy dogonieni przez czterech Rosjan, którzy szli po naszych śladach niezwiązani lina. Nadmiernie obciążony stok nie wytrzymał i zeszła lawina porywając nas wszystkich. Nasz zespół zatrzymał się po ok. 25 m, ale Rosjanie, znajdujący się w centrum lawiny, polecili dużo niżej. Mimo natychmiastowej akcji ratunkowej jednego z nich nie udało się uratować. Musiał spaść na śnieżne plateau położone po stronie chińskiej, 500m poniżej grani. Wezwaliśmy na pomoc śmigłowiec, ale mimo trzech lotów nie udało się odnaleźć ciała. Kolejnego dnia dotarł pod nawis Jura Jermaczek z dwoma wspinaczami. Podjęliśmy kolejną próbę sforsowania nawisu. Jura po dojściu po nietkniętej części stoku, zbadał stan śniegu. Stwierdził krótko: "Czekan i ramię wchodzi po pachę. Panowie, jeden zabity wystarczy", i to był koniec marzeń o V polskim wejściu na Pobiedę. Gdyby wiatr się zmienił lub gdyby

zeszła kolejna lawina z pozostałej części stoku, byłyby szanse, ale na czekanie na grani nie mieliśmy już ani jedzenia, ani gazu. Pozostał tylko odwrót.

Nawis był tak wielki, ponieważ podczas całego naszego pobytu zdrowo padało, na dodatek wiatr ze złej strony. "Panowie rozwalmy gnoja granatami" - ktoś zaproponował w ataku szału. I pewnie tak byśmy zrobili, gdyby ktoś miał choć jeden granat. W odwrocie złapała nas burza, godzinę rozstawialiśmy namiot w czwórce. Palce dłoni trochę przemroziłem, powodem były ogólnie czynności "namiotowe" w obozie 6. Wszystko trzeba robić w rękawiczkach, bo skóra strasznie pęka. A w jedyńce okazało się, że ktoś ukradł mi szpej z namiotu. No cóż, słyszało się, że kradną w Himalajach ale, ale że Rosjanie też mają lepkie ręce, tego nie wiedziałem. Ostatnim etapem naszego powrotu był lodowiec Zwiedoczka, który jest długi i trudny do przejścia. Chyba lepiej robić obóz główny w jedyńce, oczywiście trzeba mieć do tego porządną aklimuchę.

W drodze powrotnej nie obyło się bez stresów. 25 sierpnia od rana nie było lotnej pogody i do godz. 14.00 byliśmy jeszcze na lodowcu, a o godzinie 6.00, 26 sierpnia mieliśmy samolot do domu! Z Maida Dyru do Biszkeku też jest kawałek, 6 godzin jazdy. Jakoś się udało, ale biznes klasą leciałem nie kapany przez dwa tygodnie.

Jadąc w Ten Szan trzeba się nastawić, że będzie ciężko. I tu "nie ma przebaczenia", Pobieda zawsze da w dupę. To chyba była najcięższa wyprawa jaką zrobiliśmy w 6-letniej historii PKA, zarówno kondycyjnie jak i psychicznie. Pełne 3 tygodnie na lodzie. Góra jest wielka! Przytłacza, te 3km ściany działa na wyobraźnię! Albo 43 stopnie upału, że mózg wylewa się uszami albo baaardzo zimno! Nie wiem ile, bo nie zmierzyłem, ale kombinezon Malachowskiego i śpiwór to było za mało. Niestety żeby wejść na taką górę jak Pobieda, nie wystarczy chytry plan i dobrze rozpisana akcja górską, trzeba przyfarcić z pogodą. Nam się nie poszczęściło. Ale jak sobie znowu pomyślę, że mogliśmy spalić się 6 sierpnia w śmigłowcu, który spadł na lodowiec Inylczek Płd., a którym mieliśmy lecieć, to dochodzę do wniosku, że troszkę szczęścia mieliśmy. To samo tyczy się lawiny. Pierwszy raz leciałem w lawinie. Pierwszy raz leciałem w lawinie, w której ktoś zginął. Drugą ofiarą sezonu była rosyjska alpinistka, która spadła z nawisem śnieżnym, podczas trawersu masywu Pobiedy. Niestety nie była na linii.

Ksiądz Zbychu Zimniewicz został poproszony przeze mnie o mszę świętą w intencji cudownego ocalenia. W tym roku pod Pobiedą było tylko trzech Polaków. Jak ktoś zapyta miejscowych climbersów, to usłyszy, że miękcy nie byliśmy. Taka jest nasza historia. Ale każdy z Was może napisać własne story, story z Pobiedą w roli głównej. Sprawa IV wejścia pozostaje otwarta.

Runda druga: Shisha

Po wyprawie na Pobiedę przylecieliśmy na 48 godzin do kraju. Adam nawet nie pojechał zobaczyć się z żoną, bo to kolejne 500 km., a na takie podróże nie było ani czasu ani sił. 28 sierpnia poleciliśmy do Katmandu. Na lotnisku czekał Ganesh – szef agencji Monte Rosa. Okazało się, że karawana rusza dopiero 6 września, dzięki czemu mogliśmy odpocząć po kolejnym interkontynentalnym locie, oraz "wylizać rany" z Tien Szanu. Około 3 września do Hotelu Mangang przyjechali pozostali członkowie ekspedycji. 9 Chorwatów, 5 Czechów – te grupy działały samodzielnie, oraz Francuzka (Clarie), Szwed (Frederick), Hiszpan (Juan) i Niemiec (Michael) – członkowie international team. Adam i ja również weszliśmy w skład tego zespołu. Ganesh poprosił mnie, żebym został liderem i w imieniu wszystkich podpisałem oficjalnie umowę z agencją.

Bez większych kłopotów dotarliśmy przez Kodari i Dzangmu do Nylam. Tu spędziliśmy trzy dni na aklimatyzacji. Z Adamem weszliśmy na trzy okoliczne szczyty, dzięki czemu w pobliżu miasteczka nie ma górki, na której bym nie był. Dopiero tu dopadły mnie wspomnienia z Pobiedy. Nie wiem dlaczego, ale zacząłem myśleć o tym alpiniście, który zginął w lawinie. Właściwie nie był nawet miły dla nas. Kąpiąc się pod publicznym prysznicem w Nylam odmawiałem za niego modlitwę.

"Ryż jest dobry i zdrowy", tak przewrotnie mawia Krzysiek Wielicki.

Tydzień chińskiego jedzenia to dla mnie zdecydowanie wystarczająco, tym bardziej, że znowu złapałem amebę. Gorączka, biegunka, brak apetytu - same uciechy życia. Ale tym razem byłem mądrzejszy o doświadczenia spod Cho Oyu, od razu postawiłem trafną diagnozę i zaaplikowałem sobie odpowiednie leki. Po dotarciu do China BC byłem już "na chodzie". BC leży na wspaniałej zielonej trawce, ale nie ma gdzie robić aklimuchy. Na północy masyw Shishy, od zachodu ogromne pasmo górskie, a na południu widać jezioro, niebieskie niczym ocean.

Marsz do ABC zajął dwa dni. Etap ten pokonałem bez Adama, który został z Frederickiem w BC, z powodu przeziębienia. Podczas karawany jaki zupełnie zniszczyły jeden z worów. Sprzęt nie ucierpiał, straciliśmy tylko puszkę coca-coli, ale na drogę powrotną będziemy musieli załatwić jakąś beczkę. Na miejsce dotarliśmy 14 września. W ABC tłoku nie było, dosłownie dwie wyprawy, które niczego nie zrobiły na ścianie. Dzień później poszliśmy na skraj lodowca Yebokangal z pierwszym depozytem. Sprzęt Adama, który jeszcze nie doszedł do siebie po przeziębieniu, zaniósł na miejsce Tybetańczyk. Pomagał nam też przy likwidacji depozytu. Resztę transportu do obozów I, II i III, wykonaliśmy samodzielnie. Potem przy lodowcu założyliśmy obóz przejściowy, zwany depo camp. W międzyczasie Adam ze Szwedem dotarli do ABC. Zamiast na piechotę, przyjechali na koniach. Odbyła się też puja, buddyjska ceremonia poświęcenia ludzi i sprzętu, w celu zapewnienia szczęścia ekspedycji. Piliśmy nepali tee i burbona, rozrzucaliśmy w dórę ryż i mąkę, na końcu były wzajemne życzenia. Jeszcze było nas 20-tu... .

Po dniu restu Michael i ja poszliśmy znowu pod lodowiec, tym razem na nocleg, a kolejnego dnia do jedyńki. Ciężkie wory zmusiły nas do zrobienia dwóch kursów, niestety za pierwszym razem nie udało się zabrać wszystkiego. W jedyńce postawiliśmy dużego i wygodnego north face'a.

Następnie w dwóch wyjściach udało się wynieść graty do obozu drugiego. Droga wiodła stromym, dosyć lawiniastym zboczem. Zaledwie pięć dni wystarczyło do osiągnięcia 6860m i założenia kompletnie wyposażonego obozu. Dodatkowo ustawiliśmy na całej trasie około 60 traserów, ostatnie w połowie drogi do obozu trzeciego, na wysokości 6960m. Z drogi, którą wyznaczyliśmy brnąc w głębokim śniegu, przez wielkie plateau położone między Shishą a Yebokangal Ri (7365m), korzystały wszystkie wyprawy do końca sezonu. Nawet Szerpowie chodzili po naszych śladach.

22 września wieczorem zeszliśmy na trzydniowy odpoczynek.

Niepokoila nas pogoda. Ciagle dosypywało śniegu i wiało bardzo ostro. Wszyscy zastanawiali się: Czy ten monsun się skończy w tym roku, a jeżeli tak, to kiedy? Podczas gdy ja odpoczywałem w moim pachnącym jabłkami namiocie, Frederick i Adaś wyszli do dwójki na aklimatyzację. Dla Adama tył to rekord wysokości. Próbę wytrzymał dzielnie. 25 września, Jamie z Nowej Zelandii, ten sam, który wyleczył mnie pod Cho Oyu, zwołał spotkanie wszystkich teamów w kwestii poręczowania drogi z obozu trzeciego na szczyt. Ustalono, że Szerpowie wspólnie powieszą liny w najbliższych trzech dniach. Tego samego dnia Clarie otrzymała z Chamonix meteo, że pogoda będzie dużo lepsza. Zaczęliśmy szykować się do ataku. Dwa dni później dotarliśmy do jedyńki. Tu, w nocy z 27 na 28 września zmarł jeden z uczestników czeskiej wyprawy. O 8.00 rano usłyszałem krzyki w namiocie sąsiadów, przybyły lekarz stwierdził, że zgon nastąpił minimum 2-3 godziny temu. O godzinie 9.00 nawiązałem łączność z Adamem, który był w ABC i przekazałem tę tragiczną wiadomość. Rozpoczęła się dyskusja: Co zrobić z ciałem? Trzech starszych członków ekipy czeskiej proponowało złożenie ciała do szczeliny, ale brat zmarłego, Kamil, upierał się przy zabraniu ciała do Czeskiej Republiki, do domu. Niestety niewielu było chętnych do takiej akcji, a zrozpaczony Kamil chodził między nami i patrząc nam głęboko w oczy zadawał to samo pytanie: Czy pomożesz zanieść mojego brata do ABC? Ja odpowiedziałem, że pomogę, ale wielu było takich, którzy mówili "nie". Byli też tacy, którzy mijając "grupę ratunkową" odwracali głowy, traktowali nas jak duchy. Nie potrafili zapytać "jak wam leci", powiedzieć zwykłego "hello", robili wszystko abyśmy ich przypadkiem nie poprosili o pomoc. Himalaje to dach świata, a z takiego dachu wszystko widać dokładnie. Łajdactwo też. Grupa ratunkowa napisałem w cudzysłowie, bo ta grupa nie ratowała człowieka, on już nie żył, ratowała raczej wartości, w które każdy wierzyć powinien, obojętnie czy alpinista czy zwykły homo sapiens, a jednak tak nie jest i to jest wstyd i hańba! Pozwolę sobie na cytat z książki mojego przyjaciela Andrzeja Wilczkowskiego:

"Piękno i wielkość alpinizmu wynika moim zdaniem nie tylko z uroku dzikiego, wstrząsającego pejzażu, nie tylko z radości stawiania sobie niezwykle trudnych zadań wymagających sprawności mięśni i umysłu. Wynika ono również ze świadomego podejmowania ryzyka, że się kiedyś stanie przed alternatywą: wielkość albo łajdactwo... Przypuszczam, iż każdy wierzy, że wybierze wielkość".

Dlaczego nie wybieramy wielkości? Dlaczego ktoś, kto jest na tyle silny, żeby wejść na ośmiotysięczny szczyt, nie jest w stanie wziąć udziału w

akcji ratunkowej? Tego nie wiem. Ale wiem, że ludzie, którzy tak postępują nie mają prawa nazywać siebie alpinistami czy himalaistami. Ja im tego prawa odmawiam!

Jeszcze raz oddam głos Andrzejowi Wilczkowskiemu:

"Reasumując: Nic nie poradzimy, że alpinizm jest sportem wyboru skrajnych postaw etycznych. Po prostu jest taki obiektywnie. W działalności wysokogórskiej znajdziemy zarówno wzorce pozytywne, jak i negatywne. Ważne jest abyśmy umieli odróżnić ziarno od plewy i patrzyli na tych wielkich, naprawdę wielkich alpinistów".

Wracajmy jednak do faktów. Pierwszego dnia, mając do dyspozycji tylko osiem osób, w tym dwie panie, udało się nam zwieźć na nartach ciało pod lodowiec Yebokangal. Jednak przeniesienie 80kg ładunku przez najeżony serakami lodowiec było dla nas niemożliwe. Ciało złożyliśmy do prowizorycznego lodowego grobu, a noc spędziliśmy w depo campie po drugiej stronie lodowca. Rankiem Kamil przyprowadził z ABC jeszcze kilku ludzi i w 16-tu, w trzy godziny udało się przenieść ciało przez lodowiec. Dalej już na jaku ciało pojechało najpierw do ABC i następnie, pod osłoną nocy, do BC.

Przez Katmandu Kamil zawiózł brata do rodzinnej Karviny.

Po tym wszystkim Adam, który wziął również czynny udział w akcji na lodowcu, ja i reszta ekipy musieliśmy wrócić do ABC na odpoczynek.

Na 1 października zaplanowałem początek kolejnego szturmu. Pogoda była ok, więc bez przeszkód dotarliśmy do dwójki. Tu wpadłem w szal, bo okazało się, że któryś z Szerpów ukradł mi aparat fotograficzny. Kolejne wielkie rozczarowanie nie górami, ale ludźmi gór. Niestety nie mogłem robić zdjęć na szczycie. Dobrze, że Adam miał kamerę i wszystko nagraliśmy. Drogę do trójki pokonaliśmy szybko i bez przeszkód. Obóz znajdował się na grani, na wysokości 7450m, z pięknym widokiem na lodowiec Shisha Pangma i wybitny szczyt Phola Gangchhen (7661m). Na pięciu mieliśmy tylko dwa szturmowe namiociki, dlatego Adam poszedł spać do jednego z namiotów włoskich. Wstawał o dwie godziny wcześniej niż reszta, więc uniknęliśmy niepotrzebnego zamieszania. Clarie i ja wyszliśmy o 3.30, Frederick godzinę po nas. Michael zrezygnował z ataku, w rezultacie góry nie zdobył. W czasie akcji ze zwłokami pozostałe ekipy doszły do szczytu, założyły też komplet poręczówek. Dlatego ostatnie 600m nie były dla nas trudne. Po drodze, przyciśnięty przez naturę, musiałem dokonać toalety. Tym samym ustanowiłem nowy klubowy rekord – 7800m. Na 7900m dogoniłem Adama, razem podziwialiśmy wspaniały widok na Cho Oyu, Everest, Lhotse. O godzinie 9.00 byłem na wierzchołku Shisha Pangma Central, Adam w 40 minut po mnie. Wejście na wierzchołek Główny było na tyle ryzykowne, że postanowiliśmy dać sobie spokój. Po przygodach z nawisami na Pobiedzie miałem dosyć takich numerów. Zresztą do naszego wyjazdu z ABC nikt grani nie pokonał. Tego samego dnia dotarłem do obozu drugiego. Adam nocował w trójce, do ABC dotarł dzień po mnie. Tu dowiedzieliśmy się, że zaginął rosyjski alpinista. Wielu ludzi chodziło na Shishy bez liny, Rosjanie nie byli wyjątkiem. Myślę, że upadek do szczeliny był bardzo prawdopodobnym powodem zaginięcia. Po nas do ataku ruszyli Włosi, jednak pogoda im nie sprzyjała. Szerpa

chorwackiego zespołu stwierdził: To dlatego, że Mario uprawia za dużo sexu, robi to każdej nocy, a Bogowie tego nie lubią. Ja nigdy tego nie robię na wyprawie.

W drodze powrotnej z ABC do BC, Czesi zostali okradzeni, zamiast rzeczy w ich beczce były kamienie. No comments.

Wyprawą na Shishę udowodniliśmy, że sukces na Cho Oyu nie był przypadkiem. Kolejny raz w historii Polskiego Klubu Alpejskiego zdobyliśmy ośmiotysięcznik bez używania tlenu. Obok mnie na szczyt wszedł Adam Sikora, alpinista ze stosunkowo niewielkim doświadczeniem, ale z żelazną kondycją i dobrze przygotowany do tej, konkretnej wyprawy. Cieszy też to, że byliśmy dobrymi partnerami.

Pokazaliśmy, że PKA potrafi zrobić wielką wyprawę, może kolejnym celem będzie Everest? Tak, będzie, jak znajdziemy na to środki.

ZESTAWIENIE GIGANTÓW:

Pik Pobiedy		Shisha Panama
7439	Wysokość m n.p.m.	8027
3000 m	Wysokość ściany	2400 m
5850 m	Suma wykonanych podejść	5530 m
6	Ilość obozów	4
3800 m	Wysokość Base Camp	5000 m
4400 m	Wysokość Advence Base Camp	5600 m
210 kg	Łączna waga sprzętu	80 kg
3	Liczba uczestników	2
26 dni	Czas wyprawy	49 dni
21 dni	Czas akcji górskiej	27 dni
43 C	Max. temp.	43,1 C
2	Liczba ofiar w sezonie	2

Bogusław Magrel

*W tekście wykorzystano fragmenty książki Andrzeja Wilczkowskiego pt.: "Miejsce przy stole".